1. lipca. Nr. 13. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11., i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

POJAWY SIŁY ROZKŁADU.

(Dokończenie.)

Zarzucamy ubiory rodzinne, bo one są drobnostką: człowiek usprawiedliwia się sam przed sobą, i nazywa drobnostką to, czego nie czyni, a czuje że czynić może i powinien. Narodom stojącym silnie, które się nie lękają jutra, których potęga rośnie z dniem każdym, wolno jest lekceważyć przechowanie drobnostek życia codziennego: — to co w nich przybywa, jest silniejszem od tego, co uchodzi. W narodach, które utraciły byt polityczny, każda dawna okruszyna jest polityczną relikwią; bo ich istność kruszy się i sypie. Zmiany, przeobrażenia, rewolucye są wszędzie niebezpiecznemi: — w narodach chylących się są one samobójczem narzędziem: ich ostatnią bronią i jedyną już siłą jest duch pokoju, duch konserwacyjny, odpychający wszelką zmianę, *konserwatyzm* posunięty do ukruszyn, którychby nikt nie podniósł gdzieindziej. Gdzie młodzież modna przebiera swoich Krakusów lub Podolanów w angielskie sztylpy i krymki, — gdzie młodzież szkolna chcąc brawurować, zasadza zadarte, z wiszącą wstęgą węgierskie kapelusze lub pruskie magierki — gdzie jegomość surdutowy idzie między lud rodzimy w zielonym kapeluszu z wroniem piórkiem, — gdzie kupcy przylepiać muszą obce napisy do towarów krajowych, by je pokupnemi uczynić — gdzie „dziecię, które zaledwie skończyło trzy latka, wie już co jest *la mère*, a nie wie co matka" — tam zaprawdę nie ma usiłowania bytu: tam naród sam nie chce już być sobą.

Gdzie znika narodowość, tam jest zepsucie; gdzie się zepsucie pojawia, tam narodowość znikać już musi. Spojrzyjmy na państwo rzymskie. Cóż za widok! Niknąca narodowość znamionuje nieposzanowanie rzeczy niegdyś uroczystych i szybki rozbrat z przeszłością; — zepsuciu towarzyszy zbytek subtelny a męczący, zbytek coraz większy w miarę rosnącego ubóstwa; potrzeby urojone stające w miejscu rzetelnych; duma bez wartości osoby; grzeczność obok urągania; uniżenie polityczne; niewolnicza uległość opinii; pieniactwo; lekceważenie zasad, ustaw i władzy; lekceważenie własności obcej i publicznej, publicznego porządku i godności. Dowcipkowania wciskają się tam w najważniejsze sprawy; śmiechy stają się niemal wyłącznym pożycia żywiołem; rzeczy poważne nudzą, rozmowy toczą się o niczem; wyrazy głębokie tracą prawdziwe znaczenie, każdy jest zdrajcą w oczach innych; jedni posądzają i czernią drugich; wszyscy źle myślą o wszystkich.

W narodach miłujących przedewszystkim rzecz publiczną, ludzie, których zdanie upada w rozprawach o rzeczy publicznej, poddają się woli większości: to *jedność, ład i wolność;* — w narodach ciemnych lub znarowionych, każdy narzuca innym przekonanie własne, lub obrażony nieprzyjęciem onego występuje, cofa się i złorzeczy. Te usposobienia despotyczne czynią niepodobnemi *jedność, ład i wolność;* despotyzm pojedynczych odbić się musi w władzy, stojącej na usposobieniu powszechnem; a despotyzm sięgający wszystkich jest często słabszych opieką.

W towarzystwach tych dzieła literackie znamionuje dążność niepewna, rozstrzelona, zwichnięta; prace rzetelnie użyteczne, ale mozolne, umiejętności ścisłe i towarzyskie, głuchną przy lekkich, łatwych i nieużytecznych; — jedni pisarze, wplątani w ogólne zbałamucenie, szkodą rzeczy publicznej chcą jej służyć; drudzy sprzedają pióra za pieniądze, łaski i spokój. Ludzie możni depcą lud poziomy, który przestał być jednym z nimi narodem, zwalając na niego własne przewinienia i skutki własnej nieudolności. Lecz gdzie klasy wyższe żywią niechęć i pogardę dla ludu, którego poniżenia i zepsucia często same sprawcami były, tam wszystko stracone: bo jak bez nich nie ma cywilizacyi w narodzie, tak bez niego jest cywilizacya bez narodu, niedostatek powszechny i powszechna niemoc.

W towarzystwach tych jeszcze nauka, cnota, prawość mężczyzn i kobiet uczciwość, są przedmiotem żartów i szyderstwa, a gry i zabawy bez uciechy „zabijają czas" za długi. Czas jest za długim, gdzie jest próżniactwo; gdzie jest próżniactwo, tam jest ciemnota; ciemnota i próżniactwo, to ruchy przeciwne *wiedzy* i *pracy*, to życie wiodące w przepaść i zagładę. Lidya, powiada

Say, była pracowitą, bogatą i potężną, jak jej król Krezus, który z niej tylko dochody swoje ciągnął; — Cyrus, by ją pokonać, zepsuć wprzód musiał jej obywateli: próżnowanie, gry i marnotrawstwo pożarły jej narodowe siły; a Lidya nie przeżyła ich upadku. „Narody nie umiejące oszczędzać i gromadzić, muszą znikać z powierzchni ziemi", powiada na innem miejscu ten głęboki badacz społecznego egoizmu. Taką postać rozprzężenia, niemocy i zepsucia, przedstawiały Antyochia, Aleksandrya, Nikomedya, Grecya od Peryklesa, Rzym od Augusta, Francya od Ludwika XIV., Włochy od Viskontów i Medyceuszów, Polska od Sasów. Na tej drodze lecą do zguby narody i państwa: — szczęśliwsze wstrzymują się jeszcze opodal; inne dochodzą zupełnego wycieńczenia, a z niem bezwładności i upadku; — inne nikną, bo człowiek zepsuty, powiedziano, poprawia się rzadko; naród zepsuty, nigdy! Ludy, wśród których pojawiały się wielkie zbrodnie, mogły pozostać wielkimi ludami, bo wielkie zbrodnie mogą być wielką nauką; — ludy uległe zepsuciu, nikną, bo zepsucie, to niemoc, to sen śmiertelny, to pruchnienie. Tam wielkość narodowa najgoręcej obchodzi tych, którzy najmniej spodziewać się mogą osobistej; tu nie obchodzi nikogo.

Ukamienowanie św. Szczepana.

Coś ty za jeden? — wrzasnął lud w bożnicy,
Możeś ty człowiek na umyśle chory,
Bo o kąkolu prawisz i pszenicy?
Coś ty za jeden? — krzyknęli doktory —
Co nam śmiesz nowy opowiadać zakon
I bluźnić starą ojców naszych wiarę?
On odpowiedział: „Jam Szczepan dyjakon.
Chrystusa uczeń....
A więc Nazarejczyk!
Wrzasnęli starsi i w pismach uczeni.
Ludu żydowski! — krzykną, — jaką karę
Ma ten zbłąkany ponosić Hebrejczyk?
Ukamienować! — wołał lud zebrany —
Ukamienować!
Wnet z koscielnych sieni
Dyjakon Szczepan od ludu porwany...
Lud go targając, szyderstwa mu prawi,
A krzyczy: Módl się! może cię mistrz zbawi . . .
I wściekła rzesza za miasto go wiedzie
Gdzie się rozległo pole kamieniste:
Tam związanego rzucają o ziemię,
Zdzierając z niego suknie powłoczyste,
A lud się potem w około rozwiedzie,
I spieszno wraca, głazów niosąc brzemię;
I wkrótce chmura kamieni rzucona
Silnem ramieniem na Szczepana spada —
Aż ryczy tłuszcza — czeka rychło skona
Ten, co o nowym im zakonie gada!

A chmurne niebo od Szczepana głowy,
Promiennem kołem wyjaśniło lica,
Twarz męczennika i włos jego płowy —
Jakby odblaskiem nadziemskim oświeca.
A on w pokorze, wśród złośnego śmiechu,
Wyciągnął w błękit ręce błagające
Bolejąc — modły słał Panu gorące,
By zaślepionym nie pamiętał grzechu,
By wylał na nich światła swego zdroje,
I przyjąć raczył męki jego znoje...
A gdy już konał, gdy wzrok mu się mroczył,
Łagodnem okiem dokoła potoczył —
Tam gdzie leżały suknie jego krwawe,
Młodzieńca ujrzał, co z dziką radością
Strasznej się śmierci przypatrywał jego —
A Szczepan cały gorejąc miłością
Utkwił w młodzieńcu swe źrenice łzawe
I prosił Pana, aby ducha złego
Wygnał, co duszą zawładnął młodzieńczą!
Skonał — a jeszcze męczennika słowa,
W młodzieńca uchu słodkim hymnem dźwięczą,
Posępny smutek zbarwił jego lice,
Na piersi piękna zwisła jego głowa —
Tak stał w zadumie, płonące źrenice
Gasły powoli pod szklannemi łzami.

A gdy już tłuszcza opuszczała pole,
Wrócił i młodzian. Pomiędzy tłumami
On tylko jeden miał troskę na czole,
Jeden był smutny wśród gwarnej gawiedzi,
I odtąd bywał niespokojny w duszy
I tęsknej myśli — a w ducha spowiedzi
Chciał zbadać trwogę, co tak dręczy jego,
Co ćmi mu światło, co w nim siłę kruszy; —
A więc się udał do kraju obcego
I słuchał wielkich filozofów mowy,
I zgłębiał ciemne sofistów dowody,
I mądrych szukał pomiędzy narody — — —
Lecz nie zapełnił próżni mędrców słowy,
Więc zniechęcony rzucił się w bezdroża,
Judzkiej starszyzny stał się zwolennikiem,
Rozpacznym czarnych spraw ich powiernikiem,
I nienawistnym Nazareów wrogiem!

Wkrótce mąż jakiś przez lądy, przez morza
Niósł słowo Boże — nie lękał się trudów,
Zasiewał role leżące odłogiem,
Jak gwiazda świecił wśród grzechu i brudów!
I stał się pierwszy w Chrystusa winnicy —
A taką pałał ku Niemu miłością,
Że śmierć by poniósł za Niego z radością.
Całe narody jego słowo wiąże,
Ludy z pogańskiej wypędza bożnicy —
Któż mąż ten święty? O! to ów młodzieniec,
Co na męczeńską patrzał śmierć Szczepana:
Lecz łaskę znalazł u wszechświata Pana,
Sam teraz dąży po męczeński wieniec —
To Paweł święty — apostołów książę.

Ry.

Myśli o wychowaniu.

O nauczycielach domowych.

Rozprawiano już wiele nad tem, czy lepiej jest posyłać dzieci do szkół, czy kształcić je w domu, i słusznie zgodzono się zawsze, że chłopiec powinien uczęszczać do szkół publicznych, dziewczyna kształcić się w domu pod okiem matki. Dzisiejszy jednak system naukowy nie wszystkich zadowolnić może; w szkołach wszystkich przedmiotów uczą wyłącznie po niemiecku, a jaki to wpływ wywiera, widzimy na dzisiejszem pokoleniu młodem: nauczone w mowie obcej myśleć nie po swo-

emu, obojętnieje na rzeczy narodowe, a dzisiaj np. w bardzo wielu domach polskich widzieć można niemieckie lub francuskie dzienniki, niemieckie lub francuskie dzieła, a książkę polską znajdziesz tylko w kuchni lub przedpokoju. Nie we wszystkich, może i w niewielu, bo niechże Bóg broni ażeby tak było, ale przecież zdarza się jeszcze, a co smutniej, że zdarza się najczęściej w domach zamożniejszych.

Wszystko to skutkiem pierwiastkowego wychowania.

Nie myślemy powtarzać oklepane żale, że w domach polskich trzymają guwernerów francuzów i bony angielki, bo dzieje się to tylko w domach bogaczów, a do tych nie trafi podobno głos z *Czytelni* i nic oni sobie z przedstawień naszych robić nie będą, bo pan Bóg pokarał ich tą ciężką głupotą, że wolą obcą mowę niż swoję ojczystą, obce zwyczaje i obyczaje aniżeli swoje, co Bóg widzi i śmieszne i nie godzi się; ale mówimy o domach szlacheckich, które mają i chęci najlepsze, i poczucie narodowe, i dawne stare cnoty polskie, a które jednak często bardzo postępują sobie strasznie niekonsekwentnie.

Właściciel na przykład ziemski ma syna lub synów, których myśli wychować na dobrych polaków i godnych kraju obywateli, bo i sam dobrym jest polakiem, i kocha kraj swój, i trzyma *Czas* lub *Przegląd*, ba często nawet i dziennik beletrystyczny, i rezonuje na teraźniejsze czasy, i z świętą czcią przechowuje odziedziczone po dziadach zabytki, i radby z duszy, aby było lepiej i swobodniej jakoś dla piersi polskiej. Syna tedy trzeba wychować dobrze — do początkowych szkół go nie daje, bo juściż jakkolwiek bądź *possesionatus* i *bene natus*, a nużby w szkole zbratał się z jakim chudopacholskim synem; zresztą mama kocha tak bardzio Stasia lub Adasia, chciałaby się nim jeszcze nacieszyć, a nareszcie wpoić sama pierwsze zasady dobrej francuskiej pronuncyacyi — koniec końców tedy synek zostaje w domu i trzeba mu przyjąć nauczyciela.

Nie mówmy do siebie ani z gniewem ani goryczą, bo zresztą taka mowa żółciowa, zjadliwa i jaky *ex cathedra* zwykle do niczego nie prowadzi, zresztą dziennik narodowy ma prawo w dobrej wierze wytykać błędy bezwzględnie i ostro, lecz bez niepotrzebnego krzyku, bez lekkomyślnego zaczepiania osobistości, bez gniewliwego pryskania jak kot na psa — ale podawać powinien swe myśli spokojnie, poważnie, jak przyjaciel błądzącemu przyjacielowi, jak brat starszy młodszemu bratu. — Po tej tedy przydłuższej cokolwiek przemowie, zapytuję was czytelnicy, czyście widzieli kiedy smutniejsze zjawisko na dworze szlacheckim, niż tak nazwanego *pana dyrektora*?

Ja doprawdy że nie; i śmiech i płacz porywają mię razem, jak sobie wspomnę na tę biedną figurę.

Pierwszy lepszy student co nie zdał egzaminu, a nie ma chwilowo funduszów by uczęszczał dalej do szkół — były wojskowy co dostawszy pokwitowanie swych zasług nie wie co z sobą zrobić — słuchacz teologii w peryodzie przejścia do stanu świeckiego — osłabiony młodzieniec chcący na świeżem powietrzu wiejskiem pokrzepić siły — oto po największej części pretendenci na nauczycieli domowych; gdy mówią po francusku i grają na fortepianie zwani *guwernerami*, a bez tych dodatków, *dyrektorami*.

Dyrektor — posada nie mała, pomyślałby ktoś niewtajemniczony w misterya szlacheckiego dworu — dyrektor, nauczyciel syna, to stanowisko i ważne i bardzo zaszczytne. Osobę jego powinnoby się otoczyć czcią i szacunkiem, bo on kierownikiem duchowym najdroższej własności rodziców, dobrodziejem ich dziecka; on siewaczem przyszłości. Przyjaciel domu stoi on zapewne na najpoufalszej stopie z rodzicami — zasięga ich rady — i za obopólnem porozumieniem kieruje wychowaniem młodych latorośli?...

Tak być powinno, ale tak nie jest po największej części. Pan dyrektor zamieszkuje zwykle najlichszy zakątek, dodziera resztki mebli wywleczonych ze strychu, często gęsto i małe ekonomiczne posługi świadczyć musi, a za to wszystko pobiera pensyę graniczącą między płacą ekonomską, a ceną porządnej najtyczanki. Co do szacunku zaś, jaki go otacza, ten zwykle także bardzo jest problematyczny. Wprawdzie szacunek przywiązany jest do osoby, nie do stanowiska, ale chociaż by nawet *osoba* nauczyciela nie wywoływała poszanowanie, należałby się wzgląd *stanowisku*, już przez to samo, że rodzice z dobrej woli obrali go na nauczyciela i duchowego kierownika swego dziecka.

Dziwna rzecz, jaka w tej mierze panuje jeszcze u nas lekkomyślność. Rodzice — często niby nawet bardzo troskliwi, powierzają tę tak ważną posadę komukolwiek, byle tylko oszczędzić kilka dziesiątek, których nie szczędzą na co innego, nierównie mniejszej, a często żadnej wagi. Zapisują z miasta *dyrektora*, jak się zapisuje bryczkę, fortepian lub dubeltówkę, zupełnie im wszystko jedno kto nim będzie, byle tylko nie przewyższał ustawionej przez nich ceny. Przyjmują go do domu, jak się przyjmuje zapłacony potrzebny mebel, bez miłości, bez sympatyi, — bez uwagi, czy potrafi odpowiedzieć swemu stanowisku.

A jednak rzecz to niezmiernej wagi, komu powierza się najdroższą spuściznę — swe dziecko. Dziecko, gąbka, przejmuje się zupełnie istotą swego nauczyciela — a to tak dalece, że nabiera jego narowy nawet, znalezienie się, sposób mówienia, jesta. Lgnie do niego miękką swą duszą jak wiotki powój do silniejszej swej podpory; przejmuje się jego sposobem myślenia, a pierwsze wrażenia, które odbiera w obcowaniu z nim, są przeważne w całem dalszem jego życiu. — — —

Tych słów kilka wystarczy, ażeby zwrócić uwagę troskliwych i sumiennych rodziców na przedmiot tak ważny. Niechaj nie żałują trochę znaczniejszego wydatku, to i ludzi zdolniejszych i sumienniejszych w swoim zawodzie mieć będą mogli — niechaj nauczycieli swych dzieci nie uważają za płatnych sług — bo praca nau-

*

czania samemi pieniądzmi wynagrodzić się nie da — a wtedy i z tych, których mają w swym domu, wyrobią sobie życzliwych przyjaciół — i nie jedno złe się ominie, i znikną nieustanne obopólne skargi na złych nauczycieli i na szczupłą nader liczbę domów, któreby tych nauczycieli szanować umiały. *K. C.*

Z dziejów literatury XIX. wieku.

VI.

Powieściarstwo polskie.

Gdyby nam chodziło o to, aby dopatrzeć źródła romansu, musielibyśmy się przenieść w odległe czasy średnich wieków, w których się poczęła nowa poezya zwana romantyczną od języka romańskiego, w którym była śpiewaną i pisaną. Tam u Francuzów znaleźlibyśmy rodzaj poezyi rycerskiej zwanej *romansem*. Ale był to tylko zaród czegoś nowego, co w wieku XV. z upadkiem feudalizmu i rycerstwa, z wzniesieniem się literatury starożytnej Greków i Rzymian wśród mnóstwa odkryć i wynalazków zaginęło zupełnie. Rycerstwo splamione zbrodniami i nadużyciem przeżyło się i upadło, a z niem razem upadła i poezya rycerska. Na ich grobie postawił Cerwantes skarykaturowany pomnik przeszłości niepowrotnej w Donkiszocie de la Mancha, rycerzu smutnej postaci, walczącym pod godłem Dulcinei de Toboso.

Twórcą romansu historycznego, powieści nowożytnej jest niezawodnie dopiero Walter Skot i od r. 1814 to jest od wyjścia Wawerleja dopiero, pomijając dawniejsze i nowsze proby datujemy początek powieści.

Walter Skot znalazł zaraz licznych wielbicieli, naśladowców i tłumaczów; wszystkie niemal narody Europy byłyby chciały mieć swoich Walter Skotów. Mianowicie we Francyi pojawiało się mnóstwo tłumaczeń jego utworów, a ztąd odbił się rozgłos jego sławy i w Polsce. Już w r. 1824 poczęły wychodzić w *bibliotece nowych romansów*, wydawanej przez Salezego Dmochowskiego liczne przekłady powieści Waltera Skota, niestety jednak nie z angielskiego oryginału lecz tylko z francuskich tłumaczeń.

Ale nim jeszcze angielski powieściopisarz znany był powszechniej w Polsce, nim się zabrano do rozczytywania, tłumaczenia i naśladowania dzieł jego wyszła już w roku 1815 *Malwina* księżnej Maryi z Czartoryskich Wirtemberskiej. Ten utwor literacki nazwalibyśmy pierwszą powieścią polską — powieścią w całem znaczeniu tego wyrazu, bo choć może grzeszy zbytnią sentymentalnością i czułostkowością, jest jednak prawdziwym obrazem naszych obyczajów, naszego życia, charakteru, okolic naszego kraju, a sceny powiązane z toczącą się wojną przenoszą myśl w ścisle oznaczoną epokę. „Dobroć na cały zbiór rzeczy wylana," jak powiada Kraszewski, uczyniła tę powieść szczególnie miłą płci żeńskiej, a serdeczna miłość wycisnęła nie jednę łzę z oczek pięknych czytelniczek.

Malwinę kładziemy na wstępie do powieściarstwa polskiego, zdaje się nam bowiem, że utwory Krasickiego *p. Podstoli* i *Doświadczyński*, jakkolwiek zbliżone tonem odpowiada do powieści, nie są przecież jeszcze powieścią. Zadaniem ich nie jest skreślenie obrazu życia, chociaż spotykamy w nich żywe figury, doskonałe charaktery, któreby mogły posłużyć do najlepszej powieści, jednak one tylko przelotnie nasuwały się pod pióro autora, którego zamiarem nie było napisać powieść lecz tylko dać moralną i obywatelską naukę ziomkom. Należą one do osobnej kategoryi do której policzyć wypada Zwierciadło Reja, Dworzanina Górnickiego, ks. Plebana, Leibę i Siorę, Podstolica Massalskiego i wiele innych.

Tem mniej radzibyśmy nazwać powieścią pierwszą polską książkę drukowaną w r. 1521 t. j. Rozmowa Salamona mądrego z Marchołtem grubym, z której nam tylko resztki pozostały, lub poźniejszy utwor Twardowskiego z XVII w. „Paskwilina nadobna." Utrzymujemy przeciwnie, że żadne z tych nie odbiera pierwszeństwa Malwinie i że powieść nasza dopiero w XIX. rodzi się wieku.

Drugim z kolei utworem na polu powieściarstwa polskiego jest *Jan z Tęczyna* Niemcewicza. Tu już wpływ Walter Skota jest widoczny; Niemcewicz znał go w oryginale i naśladował go w swej powieści, ale nie niewolniczo i bez samodzielności. I owszem Jan z Tęczyna drukowany po raz pierwszy w r. 1825 nosi na sobie wszelkie cechy narodowego charakteru, maluje żywo i obrazowo przeszłość naszą z owych najświetniejszych Zygmuntowskich wieków, a łącząc ściśle rysy indywidualne i pomysły fantazyi z dziejami, opierając je na źródłach, wynagradza brak twórczej wyobraźni i robi ten utwor powieścią prawdziwie historyczną. Znalazł też Jan z Tęczyna takie przyjęcie, jakiem mało która książka polska poszczycić się może — w kilku godzinach rozkupiono 500 egzemplarzy.

Zakres naszego pisma nie pozwala nam zapuszczać się w krytyczne rozbiory dzieł, poprzestać musimy, mając szczególnie rozległość przedmiotu na uwadze, na samem prawie tylko wyliczaniu kolejno pojawiających się utworów powieściarskich, dodając tylko gdzieniegdzie niezbędną uwagę.

Równocześnie a nawet o kilka lat wcześniej od Niemcewicza Jana z Tęczyna wystąpił *Feliks Bernatowicz* z pierwszą powieścią w r. 1820 p. t. *Nierozsądne śluby*. Jest to powieść po połowie tylko historyczna, po połowie zaś romans namiętny. Dziwnym przypadkiem spotkał się autor w treści z powieścią jenerała Kropińskiego p. t. Adolf i Julia; nie należy jednak żadnego z nich obwiniać o plagiat. W r. 1826 wydał powieść historyczną w 4 tomach p. t. *Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w 15. wieku.* Ta powieść miała wiele powodzenia w swoim czasie, ale nie odpowiada już dzisiejszym wymaganiom krytyki — za wiele w niej chłodu, brak poetycznego zapału a prócz tego wiele błędów historycznych. Po

Pojacie napisał Bernatowicz jeszcze jednę powieść historyczną *Nałęcz* (1828) słabszą niż pierwsza, a potem jakby pomiarkowawszy się, że siły jego nie potemu, wrócił do prac skromniejszych i wydał powieści z podań i obyczajów narodowych, *Powódź* i *Reginka z Sieciechowa*.

Obok Bernatowicza należy wspomnieć *Aleksandra Bronikowskiego* chociaż on tylko pośrednio do literatury polskiej należy, pisał bowiem po niemiecku, ale zawsze o rzeczach polskich. Był żołnierzem, wiódł żywot pełen rozmaitości, pisał najprzód poezye niemieckie a nareszcie wystąpił w r. 1824 z pierwszą i najlepszą powieścia swoją zatytułowaną *Hipolit Boratyński*, w 4ech tomach. Odtąd nie ustawał w pracy pisarskiej i do r. 34 przeszło 30 powieści napisał, z których tylko 10 znajduje się w polskim przekładzie. Powieści jego znamionują wielki talent, ale nie znał dokładnie życia dawnych polaków, nadrabiał więc wszędzie fantazyą, przez co też dzieła jego wiele tracą na wartości.

Po Bronikowskim występuje w powieści trzech równocześnie autorów zasłużonych w innych gałęziach literatury; *Franciszek Wężyk*, *Konstanty Gaszyński* i młody *Zygm. Krasiński*. Pierwszy znany autor okolic Krakowa i wielu dramatów klasycznych, napisał w roku 1830 dwie powieści historyczne: *Władysław Łokietek czyli Polska w XIII. wieku* i *Zygmunt z Szamotuł* także z czasów Łokietka. Są to liche naśladowania Walter Skota, bez życia, bez barwy. W tym samym roku napisał Gaszyński poeta żyjący jeszcze dotąd w emigracyi romans historyczny p. t. *Dwaj Śreniawici*. Obok nich stanął młodziuteńki naówczas Zygmunt z powieścią trzytomową w sposobie Walter Skota *Władysław Herman i dwór jego*. Jestto drugi utwor pióra wieszcza, który się poźniej unieśmiertelnił dziełami swemi. Uwzględniając wiek autora, miał bowiem dopiero lat 15 gdy pisał tę powieść, musimy podziwiać talent i zapas historycznych wiadomości młodzieniaszka, który wówczas nie był jeszcze opuścił szkolnej ławki. Za wzór służył mu podobno *Jan III. i dwór jego* Bronikowskiego.

Są to ostatni pisarze, w których Walter Skot w całej odbija się pełni. Dwaj następujący w części już tylko należą do Walterskotystów, i na inne już przechodzą pole. Pierwszym z nich jest *Frydryk hr. Skarbek*; pisał dzieła w przedmiocie ekonomii politycznej, komedye i powieści. Rozpoczął swój zawód powieściarski humorystycznemi powiastkami z czasów współczesnych, jak: *Pan Antoni* w r. 1824, *Podróż bez celu*, *Pan Starosta* w r. 1826, w swoim rodzaju doskonałe utwory, niby obrazki flamandzkie. Ale dał się poźniej znęcić Walter Skotem i wystąpił w r. 1827 z dwoma powieściami historycznemi: *Damian Ruszczyc i Tarło*. Obliczywszy się jednak z siłami, uznając że mu zbywa na dokładnej znajomości dziejów, powrócił do humorystyki i tworzył znowu w tym rodzaju z wielkiem powodzeniem: *Życie i wypadki Feliksa Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego* i *Pamiętniki żeglarza*.

Drugim jest *K. Wł Wojcicki* znany i zasłużony badacz literatury ojczystej, zbieracz pieśni, klechd i podań ludowych. Należy on także poniekąd do Walterskotystów, ale tylko dla jednej powieści t. j. *Kurpie* r. 1824. Jest to pierwsza jego próba na polu powieściarskiem, ale się wcale nie powiodła, gdyż brakowało mu twórczości. Porzucił więc Walterskotyzm i zaczął obrabiać nieco artystycznie ludowe klechdy i starożytne podania, i w tym rodzaju najlepsze może wydał powieściarskie utwory w r. 1837. Ale Wojcicki chciał koniecznie zostać powieściarzem, nie przestawał więc na tem, ale szedł dalej; rzucił się w sferę szlachty zaściankowej i mieszczaństwa i z tych żywiołów ułożył: *Stare gawędy i obrazki* 4 tomy r. 1840., *Zarysy domowe* 4 tomy r. 1842., *Obrazy starodawne* r. 1843., *Niewiasty polskie* r. 1845., *Domowe powiastki i wizerunki* i t. d. We wszystkich tych powieściach strona artystyczna słaba, zaś jako materyał historyczny bardzo są ważne. Wojcicki do powieściarstwa nie miał żadnego talentu, położył jednak w innych gałęziach literatury wielkie zasługi, za co mu się szczera należy wdzięczność.

Wojcicki jest ostatni w szeregu Walterskotystów, z nim kończy się pierwszy niejako okres powieściarstwa naszego, nie zbyt szczęśliwy, bo nie samodzielny. Romans historyczny odgrywa tu główną rolę, a obok niego zajmuje powieść obyczajowa tylko podrzędne stanowisko, i dopiero Skarbek cokolwiek ją podnosi.

Taki stan rzeczy trwa mniej więcej od r. 1815 do 1834. W tym czasie dopiero występują ludzie wyższego talentu ludzie gienialni, i podnoszą powieść do wyżyn nie znanych ich poprzednikom. *Michał Czajkowski*, *Michał Grabowski*, *J. J. Kraszewski*, nieco poźniej *Józef Korzeniowski* zaprowadzają w powieściarstwie zupełną reformę, nadają mu wyższą dążność, szczytniejsze zadanie i wyganiają z Polski szaloną literaturę francuską, która się gnieździła po wszystkich salonach wyższego towarzystwa. (D. n.)

Krzyż na mogile.

Z strzelbą na plecach wyszedłem za kaczkami. Pies szukał zwierzyny, ja stosownego tytułu do rozpoczętego dramatu, i obydwa bawiliśmy się dobrze. Po kilkugodzinnem wałęsaniu się, spragniony i głodny usiadłem na brzegu rowu, obok mieszkania gajowego i odłożywszy strzelbę, chłodziłem się w cieniu.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

Był to gajowy z Waniawki. Twarz ogorzała, lica chude, wąs sumiasty, oczy bystre jak u sokoła. Zdjął kapelusz, powiązaną szpagatem strzelbinę popieścił w dłoniach i oparł o drzewo, a sam z ukłonem i uśmiechem prosił do swej chaty.

Nie ma nic rzewniejszego jak gościnność naszego chłopka i trudno się jej oprzeć. Zawołałem Belę, zarzuciłem strzelbę na plecy, i po chwili siedziałem przed chatą Maksyma pod wspaniałą lipą, raczony kwaśnem mlekiem, chlebem i masłem, i serdecznem zadowoleniem gospodarza.

Przed chatą, położoną na brzegu lasu, pełny smętnego uroku roztaczał się krajobraz. Wśród stróg i mokrzyd rozłożył się ciemny gaj olszowy, a na brzegu jak strażnik graniczny, niewielka stała mogiła. Na niej krzyżyk czarny nieco pochylony, otulony rozpuszczonym warkoczem płaczącej brzozy, zadumanej i samotnej, jak gdyby każdy jej listek łzawe przygniatało wspomnienie.

Uderzył mię ten widok. — Co znaczy ten krzyż na mogile? — zapytałem Maksyma.

— Ot! jegomość, biedny Antek tu leży, co był przedemną gajowym. Panie świeć nad jego duszą! — odrzekł Maksym i smutnie machnął ręką.

— Dlaczegoż biedny? zapytałem.

— Ta, ot biedak, jegomość — powtórzył Maksym — a jeźli jegomość pozwolą, opowiem dlaczego.

I opowiedział mi bieg życia gajowego Antoszka Kulichy, który wam powtórzę.

Nie bogaci byli rodzice Antoszka, ale przecież nie bardzo i biedni. Mieli pół gruntu dobrego i łączkę, chałupę z murowanym kominem, stodółki i chlewki bardzo porządne, a chociaż czworo drobnych dziatek uwijało się po obszernej izbie, nie brakło nigdy chleba, bo stary Hawryło był człek porządny, trzeźwy, pracowity i u pana dziedzica w wielkich łaskach. Był nawet niby gumiennym we dworze, bo gdy pan dziedzic wyjeżdżał, zostawiał mu klucze od wszystkich budynków, a nawet i spichlerz mu powierzał.

Pomiędzy wszystkiemi dziećmi Hawryła najładniejszy był najmłodszy Antek. Piękną miał twarzyczkę, czarne kręcone włosy i taki był biały i delikatny jakby pańskie dziecko, wychowane w największych wygodach. To też raz gdy pani dziedziczka była w ogrodzie i zobaczyła go za sztachetami wracającego z garnuszkami z pola, gdzie nosił ojcu obiad, zawołała go do siebie, pogłaskała, dała mu kawałek cukru, i gdy się dowiedziała czyj jest, nakazała Hawryłowi, aby go przesyłał do dworu, do zabawy małego jej synka.

Pan dziedzic miał tylko to jedno dziecko i nad wszystko go kochał, bo troje mu zmarło, a i to nie było bardzo silne i zdrowe. Chuchano więc na niego i uważano ciągle, aby mu się nic złego nie stało, a gdy razu jednego zasłabł w nocy, to pan dziedzic sam jeździł o trzy mile po doktora pomimo deszczu i słoty, tab bardzo był niespokojny o jego zdrowie.

Antek przydany był do zabawy małego panicza, i gdyby nie gruba koszulka podpasana krajką i bose nogi, wyglądał bardziej na pańskie dziecko, aniżeli brzydki i schorowany synek dziedzica. Chociaż jednak często słaby i ze zbytniej troskliwości lekarstwami męczony i nękany, bardzo był dobry i łagodny, i bawił się z Antkiem jak z rodzonym bratem, co widząc pan dziedzic i jego żona, polubili i oni chłopczynę, a pani dziedziczka często go całowała i pieściła jak własnego syna, przez co i staremu Hawryle dobrze się działo, i niejedna łaska spłynęła na niego.

Antek miał serce jak złoto, ale był żywy i prędki. Raz gdy się bawili z paniczem na dziedzińcu przed gankiem i rzucali kamykami do celu, Wacławek — syn dziedzica — trafił przypadkiem Antka w głowę, tak że go to dobrze zabolało. Antek myśląc, że to zrobił umyślnie, w pierwszym bolu i gniewie podniósł z ziemi spiczastą cegiełkę i rzucił nią na swego towarzysza tak nieszczęśliwie, że trafił go w oko — a ten z płaczem krwią oblany upadł na ziemię.

Ujrzawszy to matka, która siedziała z robótką na ganku, przybiegła do syna i z rozpaczą załamała ręce, bo prawe oko było zupełnie wybite i krew się lała strumieniem. Antek widząc to zaczął okropnie płakać, rzucił się na ziemię, gryzł z rozpaczy trawę i jął wszystkich całować po nogach i przepraszać, ale — cóż to pomogło! Nadbiegł ze stodoły biedny ojciec, a gdy ujrzał leżącego we krwi syna z wybitem okiem i dowiedział się o wszystkiem, w okropnym żalu kazał wyrzucić za bramę zawodzącego w niebogłosy Antka, i ani jego, ani Hawryły nie chciał już widzieć na oczy. A gdy razu jednego stary Hawryło pomimo zakazu pańskiego pokazał się we dworze — a było to właśnie w dzień, gdy przywieziony ze Lwowa doktor wyrzekł stanowczo, że oko małego Wacława uratowanem być nie może — zdesperowany ojciec na jego widok wpadł w okropny gniew, obił go strasznie i przed ganek wyrzucić kazał.

Stary Hawryło, szanowany we wsi całej, wziął sobie tę zniewagę tak do serca, że poszedł do karczmy i tak się spił, że go zaniesiono do domu. Ale gdy się wytrzeźwił nie wstał już więcej, bo w skutek zbytniego picia dostał mocnej gorączki, i za kilka dni umarł.

Została po nim wdowa z czworgiem dzieci drobnych, a wszyscy we wsi wskazywali palcami na biednego Antka i mówili ze zgrozą: on zabił ojca! — I nikt od tej chwili ani go pogłaskał, ani się uśmiechał do niego, a biednego Antka, który miał serce czułe i kochające, kłuło to jakby nożami i poznał po raz pierwszy, jak okropnie boli pogarda ludzka.

Rósł więc samotny i smutny, i choć się dzieci wiejskie garnęły do niego a i ludzie potem tulili go do siebie, on od nich stronił, lecz brał się jak mógł do pracy i pomagał matce. Po latach zdarzenie to się zatarło i wioska innego dostała dziedzica, a że młody Antek na smukłego i ładnego wyrósł chłopaka, rumiany był jak kalina, a usłużny i uległy dla starszych, lubili go we wsi gospodarze i gospodynie, a dziewczęta z pod białych rańtuchów szczerzyły ząbki i oczkiem i uśmiechem zaczepiały hardego chłopca.

Starszy brat Antka służył w wojsku, siostry powychodziły za mąż, i tylko on sam został przy matce na gruncie. Gdy więc doszedł lat dwudziestu, a starszy brat doniósł mu, że chociaż wróci z wojska, pójdzie w służbę za kucharza a z gruntu pozwoli się spłacić, młody Antek wysłał swaty do czarnobrewej Hanusi, córki Ostapa, najbogatszego we wsi gospodarza, a za miesiąc wprowadził ją jako żonę do dobrze zagospodarowanej swej chatki.

Ale — bieda nie śpi. We wsi bawił urlopnik ułan, który nabrał w wojsku różnych złych nałogów i nie nawidził Antka, do którego za Hannę śmiertelną miał urazę. Ten gdy razu jednego się upił; pobałamuciło mu się w głowie i przyszła mu myśl brzydka, którą też niebawem wykonał.

Poszedł do gajowego, wziął od niego strzelbę, nabił prochem a prosem, i gdy Antek wracał wieczorem z pola pogwizdując wesoło, strzelił do niego zaczajony za krzakami i wpakował mu w twarz cały ładunek. A gdy biedny Antek po kilku tygodniach wyzdrowiał, całą twarz miał zeszpeconą, widział tylko na jedno oko i usta mu się wykrzywiły.

— To kara za ojca i młodego panicza! — mówili ci, którzy go nie bardzo lubieli. A Antek nic nie mówił, tylko ból swój zamknął w sercu i cały oddał się pracy.

Nikt nie wiedział, kto tak bardzo pokrzywdził Antka, a choć i on sam i inni mieli podejrzenie na ułana, nie można go było pociągnąć do odpowiedzialności, bo było już ciemno gdy się to stało i nikt go na gorącym uczynku nie złapał.

Od tej chwili biedny Antek bardzo był nieszczęśliwy: zdawało mu się, że go już nie kocha żona, że śmieją się z niego i unikają go ludzie, że i niebo i ziemia okryły się wielkim kirem i ani jeden nie przebijał słoneczny promyczek. Stracił ochotę do roboty, wychudł, ciężki smutek opanował go, unikał domu i błądził po lasach, zrozpaczony, znękany.

Razu jednego przyszedł już pożno do wsi: krwawa łuna przyświecała mu drogę. Paliła się jego chata, a w chacie były żona i dziecko. Rzucił się w ogień — przez walące się belki wpadł do komory — lecz już było zapożno. Nieszczęśliwa matka małą swą dziecinę wyrzuciła na ogród, gdzie je znaleziono troche potłuczone lecz żywe — sama zgorzała.

— Gdyby był Antek siedział w domu, byłaby nie zginęła marnie biedna Hanna — mówiły sąsiadki — zabił żonę, niegodziwy Antek!

W parę dni potem staruszka matka wzięła w opiekę małe niemowlę, a Antek płacząc cicho, kopał grób dla młodej swej żony.

I tak upłynęły dni aż do zimy. W zimie siedział raz Antek przed kominem i ostrzył siekierę. Na kominie płonął ogień — za piecem na tapczanie stara matka usypiała dziecko, trzęsącym głosem tęskne ruskie nucąc mu dumki. W tem otwarły się raptownie drzwi i wpadł do izby pijany ułan.

— Naznaczyłem cię już raz łajdaku! — zawołał szaleniec — ale to za mało, bo cię nienawidzę jak piekło! — I mówiąc to przyskoczył do przelęknionej staruszki i chciał jej porwać dziecko, które ze strachem tuliła do siebie.

Okropna wściekłość opanowała na ten widok Antka. Porwał za piersi natrętnika i chciał go wyrzucić z chaty, ale gdy ten bronił się i trzymaną w rękach począł wywijać lagą, Antek nie będąc panem siebie porwał za siekierę i ciął nią w głowę napastnika.

Na krzyk powstały nadbiegli sąsiedzi — raniony ułan leżał na ziemi i tonął we krwi. Wyniesiono go i pojechano po doktora, ale nic nie pomogło — na trzeci dzień umarł.

Antka skazano do kryminału.

* * *

Gdy po odbytej karze wrócił do wsi, blady, postarzały, obrośnięty i zbliżał się do swej chaty — skoro ją zajrzał zdaleka upadł na kolana, wyciągnął do niej ręce, jakby do świętego obrazu i gorącemi zalał się łzami. Ucałowawszy ziemię wstał, ujął za kij długi i powoli zbliżał się do swej siedziby.

Zastał ją deszczkami zabitą, komin zawalony, ogród tylko uprawiony. Słońce jasno świeciło, wróble na płocie i zapadłym dachu świegotały wesoło, dzieci ze śmiechem przegrywały na fujarkach.

Wyszedł na drogę i z sercem ściśnionem pytał o matkę, o dziecko. Wskazano mu na pobliski cmentarz na wzgórku. Zachwiał się i upadł — a gdy go podniesiono i poznano, litowano się nad nim, ale nie żałowano; bo — zabił ojca i żonę!

— Kryminalista! rozbójnik! — szeptały dzieci w około niego. Nikt go nie prosił do swej chaty, nikt nie wiedział, co się działo w biednej jego duszy.

Lecz nie mówił, nie skarżył się, nie narzekał. Przed wrotami cmentarza odmówił pacierz i wrócił do chaty. Wyłamał deszczki i wszedł do środka: stęchłe powietrze owiało go. Usiadł na ławie, podparł głowę na rękach i siedział nieruchomy. W tym pędem wpadł do izby Łyskaj, wielki pies kudłaty, którego karmił za młodu, i z radośnem skomleniem począł mu się łasić i skakać i cieszyć. On jeden poznał go i powitał w pustych ścianach chaty.

* * *

Antek sprzedał grunt, porzucił wieś, i przyjął obowiązek gajowego, bo chciał uniknąć widoku ludzi, którzy go nie nawidzili i nim się brzydzili. W lesie, w towarzystwie Łyskaja i strzelby pędził samotne życie, otoczony drzewami i cichym szmerem lasu.

Tu słońce świeciło ciepło — tu czystem oddychał powietrzem, tu i ptaki nie okazywały mu żadnej wzgardy tak jak ludzie, a gdy usiadł w krzakach leszczyny co otaczały jego chatkę, śpiewały mu dużo i często, i jak tylko umiały najładniej. Lecz gdy wrócił wieczorem i roz-

palił ogień na kominie, smutno mu było bez ludzi, tęskno, i jedyną jego pociechą był Łyskaj, który w dzień towarzyszył mu wszędzie, a wieczorem leżał u nóg pana. To też w nim skupił teraz Antek całą miłość swoję — dzielił się z nim strawą, przyrządzał mu miękkie posłanie obok swego tapczana, rozmawiał z nim całemi wieczorami, a wierne psisko, jak gdyby go rozumiało, kiwało głową, furkało nosem i wywijając ogonem bystro patrzało mu w oczy.

Tak minął rok cały. Antek oswoił się z swojem położeniem i wystarczała mu miłość Łyskaja, a powoli i ludzie zaczęli się zbliżać do niego z uśmiechem i dobrem słowem.

Razu jednego wieczorem wracał Antek ze dworu i niósł worek z pieniędzmi, otrzymany na zapłacenie rębaczów w lesie. Szedł powoli, z strzelbą na plecach, a że wieczór był bardzo piękny a w około uśmiechały się do niego świeże rozkwitłe drzewa, i las szumiał tajemniczo a uroczo, rozweseliło mu się w duszy, i po raz pierwszy po długich latach wesołą zanucił piosnkę. Tak szedł sobie dalej paląc fajkę — Łyskaj za nim, polując po drodze na muchy.

Gdy weszli w długi przesmyk lasu, spostrzegł Antek na psie wielką niespokojność. Łyskaj mruczał dziwnemi głosami, to biegł naprzód, to wracał, wspinał mu się na piersi, a gdy Antek stanął na chwilę aby zapalić fajkę, Łyskaj zwrócił się szybko, i popędził tą samą drogą, którą przyszli. Po chwilce wrócił, a widząc że pan jego spokojnie idzie dalej, też same począł wyprawiać dziwactwa.

Przy tem oczy jego łyszczały tak niemiłym blaskiem, że to uderzyło Antka, a w duszy jego poczęła się rodzić straszna obawa, czy nie dostał wścieklizny? Bo gorąco było wielkie, i właśnie świeży zdarzył się we dworze wypadek.

Gdy przyszli nad rzeczkę, przez którą w bród trzeba było przechodzić, Łyskaj na żaden sposób nie chciał iść do wody. Na usta jego lekka wystąpiła pjana; stanął przed swym panem gdy tenże chciał iść w wodę, i rzucił mu się na piersi.

Antek stanął, zdjął strzelbę z pleców, drżącą ręką wymierzył i .... strzelił. — Przez dym widział, jak biedne psisko zatoczyło się i upadło. Antek ani się oglądał, tylko przeszedłszy bród, biegł dalej z ściśnionem sercem.

Gdy przyszedł do domu i usiadł w kącie osamotnionej chaty, mąż silny zapłakał jak dziecko. Wstał, i chciał schować pieniądze pańskie do skrzyni, ale — nie znalazł worka. Musiał go zgubić po drodze. W tej chwili przypomniał sobie, że zostawił go na pniu przed lasem, gdzie chwilkę odpoczywał, i teraz dopiero wytłumaczył sobie okropną swą pomyłkę z Łyskajem.

Zerwał się jak szalony i wybiegł do lasu — pędem przypadł nad rzeczkę, psa już tam nie było. Widział ślad krwi na trawie, a idąc za nim przyszedł nad brzeg lasu do pnia dębowego, na którym przedtem siedział. Na pniu leżał worek z pieniędzmi, przed pniem dogorywający Łyskaj.

Na widok pana podniosło psisko głowę i chciało radośnie poruszyć ogonem, ale mu sił zabrakło. Antek rzucił się na niego, począł go ściskać, całować, opatrywać ranę; Łyskaj polizał mu rękę, popatrzył raz jeszcze w oczy, a po chwili martwa jego głowa uderzyła bezwładnie o pień dębowy.

Antek zerwał się z rozpaczą ze ziemi i rwał sobie włosy z głowy, płakał, jęczał, ryczał z rozpaczy. Rzucił się na ciało Łyskaja, już było skostniałe. Antek porwał się znowu, przeklinał sam siebie, objął konwulsyjnie dąb i począł nim trząść z całej siły, wziął z pnia worek, rzucił go o ziemię, znowu podniósł, i znowu odrzucił od siebie ze wstrętem i z wściekłością deptał nogami.

Gdy noc zaszła, schował pieniądze i wrócił do chaty. Wziął rydel, i powrócił na miejsce gdzie leżał Łyskaj.

Noc była prześliczna, jasna i miesięczna. Ludzie wracali do wsi z jarmarku i przechodząc koło lasu słyszeli przytłumione łkania. Ciekawsi podszedli bliżej — to Antek grzebał ciało ostatniego swego przyjaciela.

* * *

Nadszedł rok 1831, a z nim dużo nadziei i klęsk dużo; między nimi straszna chłosta boża — cholera.

Byłoto w pośrodku lata. Powietrze duszne i skwarne niby przed burzą, każdy jego atom jakby pył ołowiany ciężył na skroniach ludzkich. Słońce świeci, wszędzie świeżo i wonno, a jednak tamuje oddech obawa — czy nie jad zabijającej trucizny wsiąka się w siebie? Może w woni kwiatka leży ta śmierć straszna, co jak skrytobójca cichaczem ofiarę swoję w śmiertelne porywa uściski?

Na każdym cmentarzu liczba mogił świeżych rosła z dniem każdym, ojciec opłakiwał syna, córka matkę, a często całe rodziny jak ścięte sierpem kłosy padały pod ciosem zarazy. Jęk ponury, straszny, jakby z jednej piersi rozległ się po kraju — każda chwila zdawała się wydartą nieochybnej śmierci. Kapłan tylko z krzyżem w ręku chodził z pocieszeniem i odpuszczał w imieniu litościwego Boga.

Wtedy ocknął się nasz Antek. Wziął kij w rękę, przez plecy przewiesił torbę napełnioną jałowcem, i ruszył w drogę. Chodził od chaty do chaty, cichy, bolejący, a jednak ze słowem pociechy na ustach; bez odpoczynku, bez zmęczenia przebiegał okolicę całą jakby świętą wypełniając misyę, ratował gdzie się ratować dało, i udało mu się mnóstwo uratować ofiar — póki sam nie zaległ śmiertelnie.

Byłoto niedaleko jego chaty: prosił by go nie wnoszono do izby, ale na świeżem pozwolono umrzeć powietrzu.

A gdy skonał, pogrzebano go w lesie. Lud wdzięczny usypał mu mogiłę, a na mogile czarny postawił krzyżyk. *1860.* *K. C.*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.